

Alfred Jesionowski

Dokument krzywdy

Kiedy się właśnie pojawiła w wydaniu książkowym powieść Jana Wiktora p. t. „Wierzy nad Sekwaną” spodziewać się było można, że nastąpi nareszcie szeroka, poważna i wyczerpująca dyskusja nad tą nad wyraz bolesną sprawą, jaką jest położenie naszej emigracji we Francji. Oczekiwać było można tego tem bardziej, że zarówno polska prasa codzienna, jak pisma społeczne i literackie nadzwyczajną wykazywały czułość na rzeczywistość i urojoną krzywdę społeczną... obec. Hitlerowski gwałtowno poświadcza tygodniami całymi szpalty pism, z łamów prasy nie schodzi niebezpieczeństwo rozbitek „Czeluski-na”, trzęsienie ziemi w Japonii powoduje długie artykuły, pełne współczucia nieszczęśliwych ofiar.

Wszystko to byłoby w zupełnym porządku i rzeczą naturalną — gdybyśmy się zdobyli na analogiczne zainteresowanie dla niezawinionego nieszczęścia, dla smutnej dol: naszych rodaków, dla permanentnego gwałtu, którego ofiarą są Polacy, ludzie nam najbliżsi. Ale w tej dziedzinie panuje obojętność doskonała, milczenie zupełne. Co jest tego przyczyną, że krzywda tych najbliższych nam, krzywda o pomstę do nieba wołająca, nie jest w stanie wzruszyć naszych publicystów, krytyków, którzy całe traktaty o humanitaryzmie napisać potrafią z okazji wypędzenia jakiegoś kiego pira Niemiec? Czy treść straszną, zawartą w utworze Wiktora, rozumiano jako fikcję, czy nie odczuto, że powieść ta jest dokumentem?

O pierwszego lepszego przedstawiciela politycznego wprawia się w ruch cała Liga Obrony Praw Człowieka, Welsy, Rollandy i Einsteiny walą płomienne protesty — a o krzywdę tysięcy ludzi pracy, żyjących w warunkach nie do opisania, własni rodacy się nie upomną, chociaż tu nie chodzi już o jakiś „biały” terror — ale terror we wszystkich możliwych kolorach do purpurowego i czarnego. Właśnie. Do diabła z takim humanitaryzmem, który szaty rozdziera o los 10 iredenistów, a któremu obojętny jest los dziesiątek tysięcy ludzi, ponieważ nikt ich robotników we wszystkich dziedzinach pracy, los ich żon i dzieci, przymierzających głodem, pobawionych elementarnych warunków bytowania ludzkiego, bezsilnych wobec zgodnie brutalnego postępowania wszystkich sfer, korzystających z pracy nieszczęśliwych przybyszów. Oto drobniutki obrazek:

„Wpadła Ratajczakowa z chłopcem splakany. Ocie! Patrz — A daś ze szkoły ledwo przylazł. Nauczyciel sprzął zato, że mówi po naszym na pauzie. — Zdarła ubranie, pokazała wszystkim krzywdę dziecka... Drobne plecy kurczyły się od wspomnień kija... „Pierd dziecko po gacie, do krwi bije — i furt to samo: ty świni, ty bydlę polskie... cochon polonais, sauvage, chameau, beurige allez en Pologne pour manger des pierres” — żyjące kamienie bydlęta...” (I. str. 132).

Powieść Wiktora — daje obraz pełny gehenny naszych emigrantów we Francji, porusza wszystkie możliwe problemy, związane z ich życiem na obcej ziemi, obejmuje rozmaite typy robotników i robotnic, nie pomija żadnej dziedziny pracy, obejmuje życie na prowincji i w stolicy. Autor zanajmował zarówno powody emigracji, jak i życie w obcym kraju, wzajemny stosunek emigrantów do siebie, jak i do chlebodawców, nie pominął typów i charakterów ujemnych wśród Polaków, jak i nie zapomniał o szlachetnych Francuzach — i stworzył z tego wszystkiego obraz przerażający, obraz niefudzijskiej krzywdy. Upomniał się głosem silnym i stanowczym o opiekę nad temi tysiącami nieszczęśliwych wychodźców. I choćby w tym obrazie było 50 proc. przesady — to krzywda jest zbyt okrutna, by nie miała wywołać szerokiego echa, by nie miała doprowadzić do szybkiej naprawy tego nieznośnego położenia, w jakim się znajduje tylu najlepszych i najczystszych i naj-

odważniejszych bojowników o prawo do życia.

Cóż tych nieszczęśliwych tam zagnano?

Przedewszystkiem brak pracy i nędza w kraju.

„Bieda nas stamtąd wygnana. Pożliśmy z kraju, żeby tamci mieli więcej chleba. Żeby oni wiedzieli, jak nam tu, toby każdy nasz krokoczek świętym zrobił” (I. str. 100).

Gnał ich głód ziemi, nadzieja takiego zarobku, aby powróciwszy po paru latach pracy — kupić sobie w ojczyźnie własny kawałek gruntu.

„Jadę po zarobek, żeby zaco było kupić parę morgów, a akuratik dwór parcelu, w sam raz przy moim, potem obsiać, obrobić...”

Drugi chłopina słuchał i nie słuchał. Siedział twarzą zwrócony do morza. Cudował się, kręcił głową i patrzył w morską dal, jakby wytyczał granicę, wymierzał zagony i miedziemi otaczał” (II. str. 14).

Innych wreszcie skusiły niesu-

miennie informacje, nieuczciwa agitacja, złudne nadzieje.

„Tutaj piekło. Przyjechaliśmy z Westfalii, bo Polska tak każała: jedź do Francji, do siostry pomagaj ją w potrzebie. Rzućmy wszystko, a co tutaj zaszliśmy? Eh, lepiej nie mówić...” (I. str. 128).

Rozpoczęła się droga krzyżowa

tych tysięcy nieszczęśliwych zdrowych, pełnych sił ludzi, robotników i robotnic, zaczęła się od chwili, kiedy stanęli na ziemi francuskiej, zaprzędani w niewolę po podpisaniu kontraktu, z którego słowa nie rozumieli — bo nie mieli odpowiedzialnych polskich doradców, bo francuscy agenci zupełnie świadomie wychodzili na wyzysk, bo francuski kapitał w polskim robotniku nie człowieka widział, ale siłę pracy, coś bezosobowego. I tak rozpoczęli swój żywot parjasów, wyjętych spod wszelkich praw, żywot gorzszy od bydła. Rozeszli się po polach dawnych bitew, by oczyszczać te pola od poci-sków, które wybuchały w rękach, okaleczali ciężko lub pozabawiali życia. Nieszczęśliwymi kalekami nie zaopiekował się nikt, prócz własnych rodaków. Nie otrzymał! najmniejszego odszkodowania, bo nikt ich nie ubezpieczył. Sądy francuskie dla nich sprawiedliwości nie miały. Inni poszli do innych zajęć.

„Wszędzie nasze ludzkie. Wszędzie. Po kopalniach, po fabrykach, po fermach. Za to żegnają

nas batem, jak ksiądz święconą wodą... Potem grzebię, co im tam. Nie umięja Polaka szanować — ino krew wypijać. Polactwo gorzej poniewierane niż te pierwsze, najposłedniejsze śmiecie na ulicach. Dają najgorszą robotę. Nikt nie idzie brać — nasze ludzkie wzięją” (I. str. 217).

„W niedzielę najgorszą robotę dają, nie pozwolą świętego dnia uszanować. Nie kłękni, pacierza nie mów, bo zaraz się śmieją. Jak to ludzie? niby katoliki — a Boga nie mają w sobie. Wciąż wrzeszczą: ja pobożnych nie potrzebuję ino robotników. Krew z palców wyciskają... Konia więcej poważają i szanują, jak naszych ludzi. Ukrzywdzą, sponiewierają, zbijają — nie poskarżysz się, bo gdzie? Ony na nas mają kij. Sprawiedliwości tutaj nie znajdziemy” (I. str. 218).

„No — jeszcześmy potrzebni. Przyjdzie czas, gdzie nas wezmą za karki i za drzwi. Zaprzegli nas do swego pluga i poganią, jak chca. Co im tam, zechcnie dziesięciu — to przyjdzie stu żebrać o pracę. Złodzieje naszej krwi” (II. str. 53).

Na fermie świszczy bat fermiera, w kopalni sztygar pogani kopniakami, zarząd wytręca za byle wadę w kruszcu lub węglu, za łada nieporozumienie. Tygodnie, miesięcznie ciężkiej pracy przynoszą akurat liche utrzymanie. Żadnych świadczeń socjalnych.

Nieznajomość języka, brak systematycznej opieki i kontroli, sprawia, że ci nieszczęśliwi, szczególnie pojedynczo pracujący, pozabawieni także opieki organizacji polskich, zdani są na zupełną samowolę pracodawców, wyzysk agentów, przytłoczeni cierpieniami fizycznymi i moralnymi. Cóż dziwnego, że niejednego nieszczęśliwego takie życie pchnie do przestępstwa, do zbrodni, że marnieniem staje się wyzwolenie się za wszelką cenę. Przestępstwem staje się wszystko: opuszczenie pracy to łamanie kontraktu. Ucieka — pozostaje bez papierów. Jak szczerzy zwierzę ukrywa się, kradnie, bo głodny. Uderzy mocną pięścią, by uwolnić się od pościgu. Posześci się — prowadzi żywot nędzarza pod mostami Paryża, rzadko uda się przemknąć przez granicę. A nie posześci się — zakosztuje francuskiego więzienia, do których nie zagladają członkowie Ligi Obrony Praw Człowieka. Wychodzi z pięt-niem hańby, ten „bandit polonais”. Nawet gdy mu się znośna praca trafi na fermie, uczciwych znajdzie gospodarzy — cierpi.

Przećić niema do kogo przemówić po swojemu — niema swojego nabożeństwa w niedzielę. Zaciśnię pięści i usta, pracuje: na kawałek ziemi w Polsce. Ale nie daj Boże, by siły osłabły, by się wartość mięśni zmniejszyła, wtedy:

„Won, kuśtykaj do kraju, wystarczają ci siły, żebyś łapę pod kośćcem wyciągnął, głosu ci też wystarczy, żebyś wyskamlal: litościwie chrześcijany, wspomóżta grosikiem. Kto ich tam wspomóż? I tam dość dziadów...”

„Nikt nie chciał robić, a tyś się podjął ostatniej, najostatejszej roboty... Odbudowałeś kraj po wojnie, im dach nad głową, im fabryki, im kopalnie. Lata pracowałeś, swoim potem ich karmiliś — skończyłeś, nie potrzebnyś, więc kulakami w zęby i za drzwi” (II str. 319).

Francuz sami wyznaje spokojnie:

„Ich (Polaków) tegie ramie potrzebne do pracy, której nie podjąłby się żaden nasz robotnik. Kupujemy ich zdrowe mięśnie i odbudowujemy to, co zostało zniszczone. Materiałna kultura nauczyła nas dekalogu boga i mądrości jego używania” (I. str. 164).

Powtarzam: Choćby połowa, choćby trzecia część tego, co autor przytacza w powieści z tej martyrologii polskiego chłopca i robotnika — było prawdą — wystarczy i to, by wzbudzić grozę dośi i to, by obudzić sumienia, by upomnieć się o krzywdę naszych rodaków. Ale prawdy w tej powieści jest więcej niż połowa. Miałem sposobność rozmawiać z księdzem polskim, który z Francji wrócił. (Był tam polskim duszpasterzem). Porównując jego relację z powieścią Wiktora — śmiało stwierdzić można, że „Wierzy nad Sekwaną” są dokumentem prawdziwym. Tam tylko, gdzie silna jest polska organizacja — samowola i wyzysk ze strony gospodarzy są mniejsze, choć szkodliwy rozmaitego rodzaju wcale nie ustępują krzywdzie, jaką znosi samotnie pracujący Polak, Polak niezorganizowany.

Słusznie wyznaje ów ksiądz francuski z „Wierzy nad Sekwaną”, że Francuzi jako naród „są zdolni do szlachetnych wybuchów”, w życiu codziennym zaś są „groszoborami, skąpcami, wyzyskiwaczami bez serca”, że Francja dzisiejsza, Francja Stawiskich, to „architektura ducha, wykultury, najwznioślejszy wyraz człowieczeństwa, a u stóp tych piramid mały człowiek grzebiący w kaluży, szukający centymów” (I. str. 128).

Powieść Wiktora to nie tylko obraz pięknej rany na naszym ciele, nie tylko bolesna tragedia ludu naszego na wychodźstwie — to nie tylko wzruszający obraz głodu ziemi i przywiązania do niej, piękny obraz hartu ducha, tężny fizycznej i moralnej polskiego chłopca i robotnika, nie tylko hołd oddany odwadze i bohaterstwu w walce życiowej, — powieść Wiktora to czyn społeczny, to rozdierający krzyk o elementarną sprawiedliwość, to szlachetny i donośny głos w obronę uciśnionego człowieczeństwa, poniewieranej godności ludzkiej.

„Ale czyżni bez winy? Dużo zawiniłiśmy sami w sprawie naszych wychodźców, nie zbadawszy poprzednio terenu, warunków pracy, nie odczytawszy naszych emigrantów należytą opieką, nie kontrolując kontraktów, nie lustrując miejsc pracy, nie zorganizowawszy należycie opieki prawnej. A choć dziś się wiele już zmieniło na korzyść, choć władze nasze dziś czujniej śledzą życie i warunki pracy polskich wychodźców, to wiele jeszcze pozostaje do zrobienia. Groźne jest wciąż niebezpieczeństwo wynarodowienia dzieci emigrantów, ustawicznie pilnować trzeba słusznych praw obywatelskich i zarobkowych emigracji. Wzorem nam być może pod wzgl. organizacji niemiecki Verein für Aus-landdeutsche, dysponujący olbrzymimi funduszami, zaopatrujący niemieckie wychodźstwo w pierwszorzędných nauczycieli, instruktorów, kapłanów, w książki specjalnie dla wychodźców pisane, w biblioteki — utrzymujące stały kontakt z swymi złomkami.”

Głos Wiktora przeniknął w nien do wszystkich polskich serc — bo to głos sumienia naszego, sumienia ludzkiego.

L. Całkosińska

N. K. z N. A.

Któż z byłych teatrzyków warszawskich nie przypomina sobie świetnego skeczu, zatytułowanego (o ile mnie pamięć nie myli): „Gwiazdka na Pograniczu”. W dialogu pomiędzy żołnierzem Czerwonej Armii i Kop'u podkreślono ich zasadnicze różnice. Dla Polaka: tradycja — Gwiazdka Betleemska, Dzieciatko są elementami uczuciowymi, wywołującymi łzy rozrzewnienia. Komunista natomiast tłumaczy z wyżyn „stosowanej” wszechwiedzy, że łyzy, to wydziałina gruźli; tradycja zaczyna się od Lenina; religia to fanatyzm pracy; gwiazdy: pył kosmiczny, promienie gamma i ultra X; a wogóle jedyną rzeczą godną uwagi, jest program Piatiletki. I nie sądzimy, żeby fakt pokonania się przez komunistę Nieznanemu Zbawcy, miał w jakikolwiek sposób naruszyć jego przekonania. Ot, chwila słabości...

Z pozoru biała rzecz. Ale gdy przejrzymy najnowszą literaturę beltrystyczną, okazuje się, że właśnie tak a nie inaczej wyobraża ona sobie nowoczesnego komunistę. Oto on: Wychowanek idei, czysty produkt systemu, zaprawiony do dyskusji i pracy, pozbawiony sentymentów, fanatyk postępu, użyteczności, nowy inteligent proletariatu, przystosowany do jego potrzeb. Idzie na podobój świata z poczuciem swej misji, a z nim całe zastępy tegoż pokolenia, ukasztatowanego na jedną modłę. Wchodzą oni nie tylko do literatury; wkraczają bojowym szykiem w życie... współczesne. A właśnie z takich samych „dzieci rewolucji” powstała ongi zwycięska armia Bonapartego.

I oto, krwawy sadysta z powieści Decobry, — znika, ulatnia się z kart, ustępując miejsca nowemu przybyszowi. Pierwszą jaskółką jest Vasilissa Kandarina — tancerka z Morandowskiej „Mort du Cygne”, torująca swym śmiertelnym lotem drogę siostrzom komunistom. Już zupełnie skryształizowana w formie „typu” zjawia się w literaturze francuskiej Natalia Kuryłowa, sekretarka „Nouvelle Arcadie”, wysłanniczka Departamentu Propagandy. Tracząc z archangielskiej kolumny: „Pila mechaniczna i Postęp”, absolwentka wieczorowych kursów romanistyki, wzgardliwa i wyniosła, staje na progu „spróchniałej, zgnilej Francji” z toporkiem za pasem, dobrze wyładowany plecakiem — w rewolucyjnej, czerwonej bluzie i rzuca pozdrowienie pracującego proletariatu.

Maurice Bedel, w świeżo wydanej: „La Nouvelle Arcadie” idzie w zawody z Morandowską satyrą. Syple dowcipami, śmieje się, drwi, ośmiesza, rozbraja, traktując napozór pobłażliwie ak-

tualną we Francji kwestię komunizmu. Czy nie rozdmuchano jej do przesady? Czy ktokolwiek z państwa uwierzy w podobną ewentualność? Jak długo Francuz jest indywidualistą, używa zaimka dzierżawczego, ma poczucie własności i ambicję na punkcie swego warsztatu; jak długo miła mu jest swoboda, rodzina i szklan-ka wina — nie nam nie grozi!... Lec... czy nikt z was nie słyszy odgłosu kroków armii, maszerującej od wschodu?

To ostrzegawcze pytanie, rzucane mimochodem, ginie w wartkim błyskotliwym toku opowiadania o nieprawdopodobnych, choć prawdziwych perypetiach komórki komunistycznej. Któż z nas — mówi autor — nie słyszał o entuzjzmie, wywołanym wśród paryzan mowami słynnego Chereśsa, znanego „twórcy idei” i komunisty. Wyznawcy jego uprawiali idee w sobotnie popołudnia na jednej z wysepek Sekwany, lecz zrażeni trudnościami różnego typu — postanowili dać czynny przykład życia kolektywnego.

Lekarze - chemicy, uczeni, me-żatki i panny w liczbie 16-tu założyli w nabytej spomocą towarzyski, hrabiny de Courlidon, posiadłości Boischnu, pierwszy o-środek.

Wysłanniczka Sowietów, młodzieńca N. K., wskaże im metodę pracy, filozof żyd, Lucias, dbać będzie o czystość idei. Nowa Arkadja zaczyna żywot w imię zbiorowej pracy. Hasła: „Wszystko dla wszystkich, nie dla jednego”, zniesienie własności włącznie do szczeretki do zębów, zniesienie płci, zaimka dzierżawczego, odczuć indywidualnych, wchodzi w program nowego ustroju.

Entuzjazm wyruszenia w drogę do Boischnu. A właśnie zamek ten, położony w słonecznej Touraine, przy bocznej linii kolejowej, na której widok nielicznych pasażerów wzbudza ogólne zniecierpliwienie konduktorów (ah ce sale métier) sąsiadując z wioską St. Marol. Wieś, ot zwykła francuska wioska, ani biedna, ani bogata, wtulona pomiędzy winnice, przecięta strugą, ogarnięta linją lasów i strzelistych topól. Ludzie żyją tam po Bożemu. Oddani pracy, ci na roli, tamci przy warsztacie, każdy z nich ambitny na punkcie swego zawodu i s w e g o wina. Wstrząsy socjalne tu nie dochodzą i jedynym wyjątkiem w nieświadomości prądów nurtujących świat ludności, jest dwudziestoletni syn siódłarza Paul Martin, przed którym biblioteka opuszczonego zamku odkryła świat wiedzy, idei. Właśnie po-żnał 1620 rodzaj uczuć Fourniera, właśnie zgłębił 351 sposobów szczęścia, proponowanych w ciągu stuleci przez uczonych, gdy zjawiała się przed nim N. K. z N. A. niosąc najdoskonalszą receptę na szczęście.

Trudno jest propagować i realizować wyrzeczenie się — gdy o dwa kroki od nas ludzie prowadzą nieczem niezamącony żywot. Trudno jest arkadyzyskom, chociażby popierał ich entuzjazm jednego Paul Martina — pracować w pocie czoła i odżywiać się w oczekiwaniu pierwszych plonów pracy, korzonkami, gdy o miedzę w każdym francuskim domu roz-pala się ognisko i przynosi smakowite zapachy posiłku najmniej-szy powiew wiatru. I chociaż arkadyzyscy śpią co noc w innym łóżku, chwytają pierwszą z brzęgu odzież, mówią „my” — zamiast „ja” i negują miłość — sąsiedztwo wsi francuskiej czyni swoje. Pierwszy zakup, pierwsza puszka sardynek przerywa tamę heroizmu. Za funtem cukru — wyjeżdża wóz z żywnością, i kucharka. Za kucharką — pracownicy i zmiana ustroju. Konuna ulega rozkładowi, po rządzie demokratyczno - socjalistycznym przychodzi republika i ostatecznie władza gościnnej hr. Courlidon. — Jesteśmy komunistami i pozostaniemy nimi — mówi ta ostatnia — ale któż nie przyni, że komunizm daje wiele tematów dyskusyjnych, lecz b. mało rezultatów realnych?

Ale w nowym błogim ustroju Arkadji nie tylko dyskutują, prowadzą się celową propagandę wśród okolicznej ludności.

Kolumna propagandy, pod wodzą Natalji Kuryłowej niesie pozdrowienie czerwonego proletariatu. Niestety, Natalia napróżno szuka robotnika — ofiary ustroj-ym rozróżnia obraz zmechanizowanej pracy, udowadnia, że wyroby rąk są trwalsze od maszynowych, a warsztat własny nie jest czemś do pogardzenia. Cieśla pyta o wolny czas w ustroju komunistycznym, swobodę działania, odróżniając człowieka wolnego od niewolnika. Farmerkę interesuje fakt, czy za rządów komunistycznych wzrosła cena na zboże, a wizja życia koszarowego, standaryzowanego jadła i o-dzienia wzamian za pracę nikogo nie pociąga.

Zawodzi również wizyta w małej fabryce, przypuszczalnym o-środku niezadowolonych i różnie społecznych. Sam właściciel rozwiązał problem najgorliwszemu agitatorowi, ustąpił na pół roku miejsca: miejsca przy biurku, zamierając na ustach. Powoli, miarowo zdąża za wschodzącym słońcem, i z trudem przypomina sobie z przemówienia te — które dotarły do jej uśpionego sumienia:

„Plan piatiletki zwycięża na wszystkich frontach. Jeszcze jeden wysilek...”

go.

A cóż w tem zamieszaniu czyni Natalia Kuryłowa? Początkowo powtarza „gubimy drogę” — i oburza się na brak zmysłu kolektywnego, lecz powoli słodczy i urok Francji czyni swoje. Niedarmo przebiega okolice — propagandzie komunistycznej przeciwstawia Francja czar szczęścia a l'ancienne. To szczęście, to miłość Paul Martina. Cóż to się stało z wspomnieniami z Archangielska — dzienną pracą i nocnymi dysputami? Z wizją zmechanizowanego świata, w którym każda energia cieplna, każda struga musi oddać swe wartości na użytek świata - machiny. Drzewa przestały być chemiczną formułą, składnikiem celulozy - chlorofilu - pektozy; in-nych ciał chemicznych, przy re-dotworczym materiale. Tej, którą kółkarsko legendami o pracy i obowiązku, o Marcie Dubinowej, która po dniu akordowej pracy umierała z wycieńczenia.

Po Aleksym Petrowiczem zamaz-niętym przy naprawie mostu, — opowiadają dziś legendy o dryadach — śpiących królownie, — o miłości. Natalia — uczulowcza się — odkrywa piękno choćby bezużyteczne. Już nie marzy o zni-wieceniu świata. Chciałaby zachować bez zmian ten skrawek ziemi — z jego lasami i srebrną strugą — chciałaby zanać szczęścia a l'ancienne. I wygląda to tak, jak gdyby miała uledeć. Sprzyja temu słoneczne lata, gwiazdzistość sierpniowych nocy, nieśmiata miłość Paula.

Ale Bedel jest nie tylko roman-sopisarzem, chodź mu o przeprowadzenie tezy. Młode pokolenie ze szkoły sowieckiej nie może zapomnieć o dyscyplinie i misji. Jedna mowa komisarza sowieckiego, usłyszana przez radio, wy-starczy, by przywołać ją do szeregów. Przestaje być Natalią, na nowo jest „N. K. z kolumny: Siła mechaniczna i Postęp” — Odwraca się od szczęścia, od Martina którego życie Sowietów zgmiotłoby na miarę, i niepostrzeżenie odchodzi. Odchodzi jak przysła-ż, z plecakiem — i toporkiem za pasem, w mglisty, wczesny poranek.

Słowa zaledwie nauczone — „Mój maleńki... Kochany...”, zamierając na ustach. Powoli, miarowo zdąża za wschodzącym słońcem, i z trudem przypomina sobie z przemówienia te — które dotarły do jej uśpionego sumienia:

„Plan piatiletki zwycięża na wszystkich frontach. Jeszcze jeden wysilek...”

Poza nią, wioska francuska, budziła się do pracy — zwyczajnie i prosto razem z pianiem kogutów.

*) Jan Wiktor: Wierzy nad Sekwaną. — Warszawa, 1933. Tow. Wyd. „Rój”. Tom I. str. 294+. 2 nrb. Tom II. str. 367.

*) Maurice Bedel. La nouvelle Arcadie, ed. Gallimard, 1934.